

nieregularnik X LO
12/2023

Dycha

odcienie sztuki



Spis treści

Historia początków kina, czyli jak rysunki na garnkach zmieniły się w westerny	4
Między sztuką a nauką	7
Między wierszami	8
Dygresje anegdoty pana Towarnickiego	9
Trochę magii i teorii o tym, jak muzyka wpływa na mózg	10
Wesoły nam 13 października nastał, czyli o wrażeniach z przedpremiery welchmanowskich <i>Chłopów</i>	12
Słów kilka o tym, co dalej	15
Sztuka wytchnienia	18
Jak to z <i>Dychą</i> było?	20
Dziesiątka pyta nauczyciele odpowiadają rysunkami	22
Życie i rozterki	24
Kim jesteśmy?	27



Czym jest sztuka (Sztuka)?

Zaznacz prawidłową odpowiedź:

- uosobieniem tego, za czym tęsknię, gdy brak mi słów
- wyrozumiałością dla swoich myśli
- czymś dla sztuki*
- zwierciadłem duszy (oj, to chyba inne przysłowie, ale nawet pasuje...)
- a ja nie wiem i nie wiem i trzymam się tego jak zbawiennej poręczy***
- wszystkie odpowiedzi są poprawne
- inne...

Myślę, że każdy może rozumieć sztukę na swój sposób, więc nie zamierzam się tutaj za bardzo wyrażać.

Redaktor naczelna

Gonia Janińska

Przypisy:

* Przybyszewski doszedł do głosu, niech mu będzie!

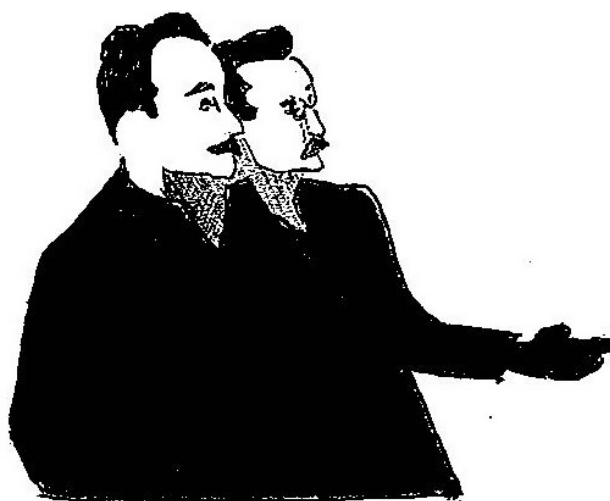
** Wisława Szymborska *Niektórzy lubią poezję*

Historia początków kina, czyli jak rysunki na garnkach zmieniły się w westerny

Istnieje kilka znaczeń słowa *kino*. Po pierwsze, jest to miejsce przeznaczone do projekcji filmów na dużym ekranie. To zdecydowanie najpopularniejsza z definicji. Nie dziwić powinno również stwierdzenie — kino to przemysł i sztuka filmowa. Mniej popularnym, choć również dość oczywistym wytłumaczeniem jest film lub seans filmowy. W obecnych czasach nie ma tak naprawdę potrzeby tłumaczenia słowa *kino*, wiemy o nim od zawsze, jednak jest to w dziejach ludzkości coś stosunkowo nowego. Od czego więc się zaczęło?

Mówiąc o historii filmów i kina, należy zacząć — tak jak w przypadku większości znanych nam dzisiaj zagadnień — od samej starożytności. Najstarszym znaleziskiem świadczącym o powstaniu w tamtym okresie form zbliżonych do filmu jest znaleziony na terenie Iranu ponad 5200-letni garnek z powtarzającym się kilkukrotnie rysunkiem koziołka. Ponieważ rysunki różniły się względem siebie, przy odpowiednio szybkim obróceniu naczynia można było ujrzeć, jak zwierzę podskakuje, aby sięgnąć wiszącej nad nim gałązki. Uznaje się to za początek animacji poklatkowych — te z kolei stanowiły zapowiedź kina, jakie znamy obecnie. Innym przykładem starożytnego spojrzenia na animacje poklatkowe był taumatrop, przez pewien czas najpopularniejsza zabawka dziecięca. Składała się ona z kartonika, na którego jednej stronie namalowany był ptaszek, a na drugiej — klatka. Za pomocą zwijania sznurczków po obu stronach kartonika wprawiało się go w ruch, a on, kręcąc się, pokazywał obraz ptaszka znajdującego się w klatce. Kolejnym wynalazkiem związanym z animacją były flipbooki. Małe książeczki składające się z kilkudziesięciu do kilkuset rysunków, które przy szybkim przewracaniu stron sprawiały wrażenie poruszającego się obrazu. Cieszyły się one popularnością przez bardzo długi czas i nazywano je kinem kieszonkowym. Były to jedyne „urządzenia” przedstawiające ruch, aż do 1891 roku, kiedy to Thomas Edison opatentował kinetoskop. Kinetoskop był urządzeniem, w którym przesuwające się najpierw płytki, a później rolki taśmy umożliwiały oglądanie filmu jednej osobie, patrzącej przez specjalny otwór do wnętrza maszyny.

Początek kina, znanego nam dziś, jest bardzo trudny do wyznaczenia, dlatego istnieją dwa rodzaje jego określenia. Jednym jest sposób tzw. amerykański. Za jego początek uznawane jest pojawienie się kinetofonu Thomasa Edisona w 1889 roku, czyli moment, od którego możliwa była rejestracja ruchu. Drugą wersją jest sposób europejski, który zaczyna się od pierwszej publicznej projekcji filmu. Wydarzyło się to 28 grudnia 1895 roku, kiedy wyświetlony został film braci Lumière *Wyjście robotników z fabryki*. Skupiając się na tym drugim sposobie, można śmiało powiedzieć, że był on rozpoczęciem przemysłu filmowego w Europie i zainspirował wszystkich kolejnych twórców. Film trwał jedynie 50 sekund, jednak jego sukces był ogromny. Jeszcze w tym samym roku pokazana została produkcja *Wjazd pociągu na stację La Ciotat*, która tak przeraziła odbiorców swoją prawdziwością, że niektórzy z nich uciekli z sali. Filmy braci Lumière były krótkie i przedstawiały głównie sceny z prawdziwego życia, chociaż w znacznej większości były inscenizowane (przykładowo w *Wyjściu robotników z fabryki* wszyscy wychodzący opuszczają fabrykę dokładnie w czasie 50 sekund, czyli najdłuższej długości, jaką w stanie była zarejestrować taśma filmowa w tamtym okresie). Z czasem filmy zostały wzbogacone o fabułę, na którą składały się głównie krótkie anegdoty i zabawne scenki wzięte z życia. Tytuły tych filmów były zazwyczaj użytkowe i zapowiadały większość wydarzeń.



Kontynuatorem dzieła braci Lumière był inny francuz, Georges Méliès. Stworzył on tzw. magię kina, czyli możliwość robienia przejść i cięć w taki sposób, aby widz mógł oglądać na ekranie „magiczny” spektakl. Dzisiaj jest to po prostu znane jako montaż. Sam Méliès, zanim zaczął tworzyć filmy, pracował jako iluzjonista w teatrze. Gdy pewnego dnia zacięła mu się taśma filmowa, a po jej odtworzeniu zobaczył przeskok z jednego kadru do drugiego, w którym przechodzące kobiety przeistoczyły się w mężczyzn, a wóz przemienił w dorożkę, był zachwycony i od razu zaczął eksperymentować. Na początku swojej kariery kopiował głównie filmy braci Lumière i trzeba było trochę poczekać, aby zobaczyć jego własne dzieła. Najśłynniejszym filmem Méliès’a jest *Podróż na księżyc* z 1902 roku. Był to aż dwunastominutowy film fabularny, który opierał się na powieściach Juliusza Verne’a i H.G. Wellsa. Posiadał rozbudowaną scenografię i montaż na najwyższym poziomie. Film ten odniósł wielki sukces, co przyczyniło się do kopiowania go przez wiele osób lub prób przypisania sobie jego produkcji. Aby taka sytuacja się nie powtórzyła, wytwórnie filmowe zaczęły umieszczać na rekwizytach, a czasami nawet kostiumach w filmach swoje logo.



Wracając do kina amerykańskiego, należy wspomnieć, że rozwijało się równie szybko jak to europejskie. Thomas Edison, pomimo skonstruowania i opatentowania kinoskopu, nie wierzył zbyt w jego przyszłość. Niemniej jednak razem ze swoim uczniem, Williamem K. Dicksonem, założył pierwsze studio w West Orange — Black Marię. Dickson stworzył tam wiele filmów i wynalazł kinetofon. Było to jedno z najważniejszych urządzeń w przemyśle

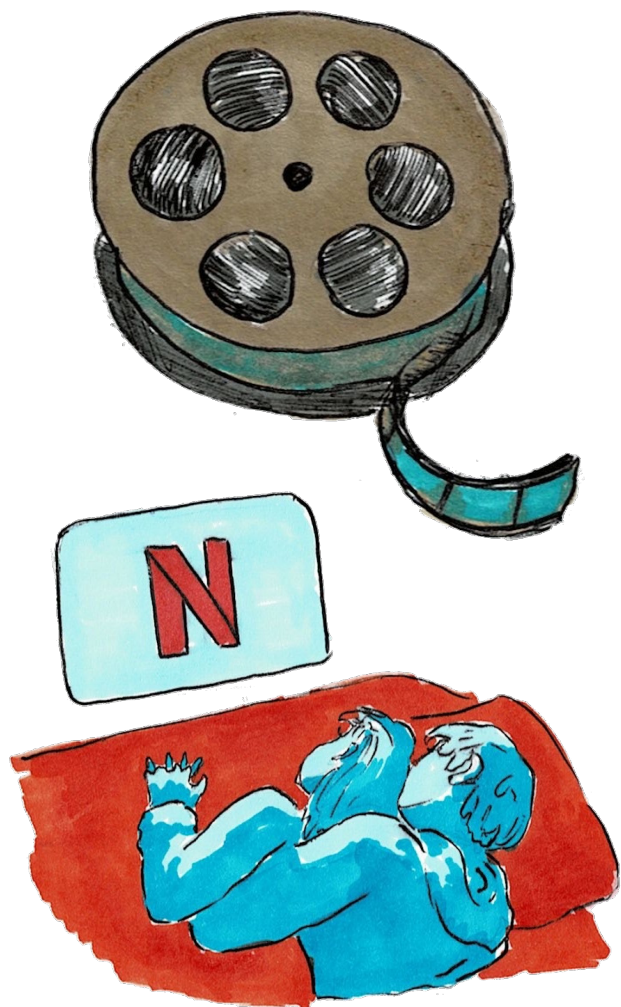
kinowym, ponieważ pozwalało na połączenie dźwięku z wyświetlanym równocześnie obrazem. To właśnie dzięki temu powstał pierwszy film z dźwiękiem o bardzo typowym jak na tamte czasy tytule: *Eksperymentalny film dźwiękowy Dicksona*. Amerykańskie kino czerpało wiele inspiracji z europejskiego, jednak podczas I wojny światowej rozwinęło się szybciej. W Europie mało kto posiadał fundusze na produkcję filmów lub oglądanie ich. Ameryka, pomimo tego, że również była osłabiona ekonomicznie, dysponowała większymi zasobami finansowymi. Powstała wielka sieć kin Nickelodeon, której nazwa pochodziła od słowa *nickel*, znaczącego pięciocentówkę (w takiej właśnie cenie sprzedawano tam bilety na seans). Przez wiele lat w Stanach główną wytwórnią filmową był tzw. Edison Trust, czyli grupa twórców podlegająca właśnie Thomasowi Edisonowi. Jednak według plotek był on człowiekiem trudnym we współpracy, co przyczyniło się do rozpadu grupy.



W Europie poza kinem francuskim i angielskim rozwijało się także kino niemieckie i rosyjskie. Kierunek, jaki obrało kino niemieckie, był dla tamtych czasów bardzo charakterystyczny. Większość filmów odwoływała się do gotyku i fantastyki, co czyniło je podobnymi do siebie. To właśnie w Niemczech tworzono jedne z pierwszych filmów grozy, często skupiających się na psychologii bohaterów. Najśłynniejszym był *Gabinet doktora Caligari* w reżyserii Roberta Wiene z 1920 roku. Można go nazwać sztandarowym dziełem owego czasu. Z kolei przemysł filmowy w Rosji, miał w pierwszych latach rozwoju kina funkcję głównie propagandową. Z początku nakręcono kilka filmów historycznych, adaptacji prozy oraz bardzo dokładny dokument *Obrona Sewastopola*, który był najlepszym nakręconym w tym czasie. Mimo bardzo dobrego wykonania późniejszych filmów, nie były one dobrze odbierane przez warstwę agitacyjną.

Z czasem w kinie zaczęto poszukiwać głównie rozrywki i jednym z trzech najlepiej rozwijających się gatunków była komedia (pozostałe dwa to dokumenty i westerny). Zaczęto odchodzić od śmiesznych anegdotek pokazywanych w 50-sekundowych filmach i to właśnie wtedy komedie przyjęły dłuższą formę. Pionierem w tym gatunku był Max Linder, który stworzył pierwszą tzw. postać komiczną. Nazywała się ona tak samo jak jej twórca i przeżywała różne przygody w serii filmów. Można ją było rozpoznać, ponieważ charakterystykę aktora wykonywano zawsze w taki sam sposób. Postaci komiczne były później rozstawione jeszcze przez trzech wielkich komików – Harolda Lloyd’a rozpoznawanego głównie z filmu *Jeszcze wyżej*, Bustera Keatona, czyli człowieka z kamienną twarzą i Charliego Chaplina. Tego ostatniego zna chyba każdy. Na ekranie zadebiutował w 1914 roku, najpierw jedynie jako aktor, później także reżyser. Na pierwszej gali rozdania Oscarów otrzymał trzy nagrody: za scenariusz, reżyserię i aktorstwo (było to w roku 1928, a nagrodzonym filmem był *Cyrk*). Jako twórca filmowy był bardzo popularny, ale także kontrowersyjny. Jako jeden z pierwszych poruszał kwestie polityczne i społeczne w filmach, co nie podobało się wszystkim. Wielką debatę wzbudził film *Dyktator*, w którym Chaplin odtworzył postać Adolfa Hitlera. Jednak, pomimo wszystkich negatywnych opinii, gdy w 1972 roku odbierał honorowego Oscara za całokształt, dostał najdłuższe w historii owacje na stojąco, które trwały aż dwanaście minut.

Nie da się ukryć, że wszystkie wymienione produkcje niezależnie od swojej długości, bo przecież mówimy tu zarówno o filmach trwających kilkadziesiąt sekund, jak i tych kilkogodzinnych, miały znaczący wpływ na to, co powstawało w przemyśle filmowym przez wiele kolejnych lat. A zatem, produkcje te miały także wpływ na nas jako widzów. Wynalazek Edisona, o którego sukcesie powątpiewał sam jego twórca, na zawsze zmienił kulturę, rozrywkę i życie większości ludzi. Nieważne, jakie filmy lubimy – czy są to romanse, komedie, science fiction, czy dokumenty, wszystkie mają jedno źródło i jeden początek – *Wyjście robotników z fabryki*. Można się czasami zastanowić, co myśleli ludzie idący na ten pierwszy w dziejach ludzkości seans kinowy i jak bardzo różni się to od naszego podejścia do sztuki filmowej. Myślę, że w pewnym sensie każdy z nas choć trochę ulega magii kina.



Źródła:

- Słownik Języka Polskiego PWN, sjp.pwn.pl/slowniki/kino [dostęp: 10.11.2023]
- Muzeum Górnośląskie w Bytomiu, [youtube.com/playlist?list=PLN7gyQtKue01AR7yKWxldwdH7RQ7JdHeF](https://www.youtube.com/playlist?list=PLN7gyQtKue01AR7yKWxldwdH7RQ7JdHeF) [dostęp: 8.11.2023]
- Kemp Philip, *Historia kina*, Wydawnictwo Arkady 2019

Między sztuką a nauką

Kiedy myślimy o sztuce, zazwyczaj przychodzą nam na myśl obrazy, rzeźby, książki, poezja i muzyka. W istocie, wszystkie te formy są sztuką. Jeżeli jednak zastanowimy się nad połączeniem sztuki z nauką, pierwsze skojarzenia zazwyczaj ograniczają się wyłącznie do naukowych modeli czy technicznych rysunków. Wbrew pozorom częścią sztuki, którą podziwiamy na co dzień, jest właśnie nauka. I to nawet bardziej ściśta, niż może się wydawać.

Jedną z podstawowych umiejętności, którą trzeba opanować przed przystąpieniem do wykonywania dowolnych form sztuki jest kompozycja. Można komponować „na oko”, według własnego uznania. Jednak już od starożytności w dziełach sztuki, szczególnie obrazach czy rysunkach, przewija się matematyczna technika: zasada złotego podziału. Opiera się ona na podziale odcinka na dwie części, w taki sposób, aby stosunek długości dłuższej części do krótszej był równy stosunkowi całego tego odcinka do jego dłuższej części. W tym celu korzysta się z proporcji oraz ich stosunku do siebie, bazującego na ciągu Fibonacciego, który wskazuje, że każda z liczb jest wynikiem sumowania dwóch poprzednich. Z kolei stosunek mniejszej liczby do większej daje wynik zbliżony do wartości 1,6180 phi. Złoty podział zastosował przykładowo Leonardo Da Vinci w swoim obrazie *Mona Lisa* czy Salvador Dali w *Ostatniej wieczerzy*, ale jest on również powszechnie stosowany w architekturze, fotografii czy nawet florystyce przy układaniu bukietów.



W sztuce przewijają się też cały czas nauki humanistyczne – niektórzy twierdzą nawet, że same w sobie są sztuką. Najczęściej to historia pojawia się w dziełach literackich czy obrazach. W Polsce, jednym z najstynniejszych malarzy, tworzącym właśnie obrazy historyczne i batalistyczne, był Jan Matejko. Jego obrazy można obecnie podziwiać na

czasowej wystawie w Muzeum Narodowym w Krakowie. Cechują się one wyjątkową dbałością o szczegóły, nie tylko w przypadku wydarzeń historycznych, które są na nich przedstawione, ale również w strojach czy przedmiotach pochodzących z danych epok. Bez skorzystania z odpowiednich źródeł i poszerzania wiedzy, odtworzenie z taką dokładnością historycznej rzeczywistości, nie byłoby łatwe.

Współcześnie sztuka również wiąże się z nauką, nawet jeszcze ściślej niż w poprzednich epokach. Obecnie najczęściej przeplata się z biologią, fizyką, chemią czy informatyką. Przykładowo Mara G. Haseltine tworzy rzeźby inspirowane procesami biologicznymi, które zachodzą w komórce podczas budowy białek lub które spowodowane są zjawiskami będącymi skutkami globalnych zmian klimatycznych. Natomiast Hadrien Dussoix, szwajcarski artysta, na jednym z obrazów umieścił sekwencję kwasu proteinowego. Zresztą, dopiero niedawno powstał kolejny kierunek w sztuce ściśle łączący z nią nauki biologiczne: bioart, czyli inaczej sztuka transgeniczna. Wykorzystuje ona techniki inżynierii genetycznej do przemieszczania naturalnego materiału genetycznego lub syntetycznych genów do organizmu w celu stworzenia czegoś nowego. Artyści tworzący dzieła określane jako bioart opierają je na wykorzystywaniu metod współczesnej biologii i biotechnologii. Jednym z bardziej znanych przykładów wytworów tej dziedziny sztuki jest Alba, czyli zmodyfikowany genetycznie, świecący królik – dzieło artystyczne jednego z prekursorów sztuki transgenicznej, Eduardo Kaca. Bioart nie jest co prawda najpopularniejszym współcześnie kierunkiem sztuki, głównie ze względu na wątpliwości etyczne i moralne, które niesie ze sobą jej tworzenie, jednakże jest niezbitym dowodem na to, jak bardzo sztuka i nauka mogą ze sobą współistnieć.

Widać więc wyraźnie, że te dziedziny, zazwyczaj niekoniecznie kojarzone jako coś pokrewnego, w rzeczywistości często są sobie wyjątkowo bliskie. Bez sztuki nie byłoby nauki – bo to przecież sztuka była pierwszą próbą wytłumaczenia zjawisk zachodzących w świecie, ale również bez nauki nie byłoby sztuki, co jest widoczne przede wszystkim w kierunkach takich jak bioart, w sztuce cyfrowej czy innych dziedzinach powiązanych z technologią i zaawansowanymi badaniami.

tekst: ALICJA BARCICKA

ilustracja: obraz *Ostatnia wieczerza* Salvadora Dalego

Między wierszami

Wabi Sabi

W dniu, w którym cię poznałam
 I w dniu, w których nas nie było
 W chwilach nieuwagi
 I w chwilach skupienia
 W momentach bezsilności i piękności bycia
 W cenie łez, straty
 Pragnienia i milczenia
 W oceanie uczuć, nie myśli
 W zaszepczanych drogach
 I czasie, który nie wróci
 W brzydocie i popękanych płytkach
 Oraz herbacie, bez dzbanka, dającej się nalać
 W tym, jak długo czekałam
 I jak niewspółmiernie długo jechał pociąg
 W domach, ale tylko jednym naszym
 Pod plecionymi kocami
 W tamtych oczach na ulicy
 Tych, których już nie widać
 W taksówce w Warszawie
 O północy, po zachodzie
 W rytmie serc
 (Między którymi wszystko,
 co brzydkie, staje się piękne,
 a ja nie czuję zziębniętych dłoni,
 bo stojąc obok ciebie nie muszę)
 Aż do końca, w twoich słowach
 Nasza idealność w nieidealności



Niesione leśnym runem

(W bezimiennych lasach)
 (Anonimowy szelest, kiedy idziemy)
 (Drżenie twoich dłoni)
 (Nie mogę patrzeć)
 (Poczekaj, znajdę dla nas miejsce)
 Obiecuję,
 Będę cię kochać
 do końca (tego wiersza)
 Później wstanę
 i podążę śladem
 zwierząt (tych dookoła nas)
 Ale obiecuję,
 Będę cię kochać
 aż do końca (tej drogi)
 Nie martw się,
 granica jest daleko
 od nas (od ciebie, nie ode mnie)
 Wiem, że płaczesz
 nie płacz
 spotkamy się na innym rozwidleniu
 (na innym skrzyżowaniu)
 Przyniosę ci pamiątki
 Kości, próchno i pokrzywy
 Uplotę z nich wianek
 – (wsunę kwiaty w twoje włosy)
 Wrócę,
 odpowiemy wyciu śmiechem
 (jesteśmy silniejsze niż oni)
 Obiecuję,
 Będę cię kochać
 Nawet, gdy usłyszysz
 (wołanie dzikich zwierząt)



tekst: JULIA FILIPIAK
 ilustracje: FILIP ZIĘBA

Dygresje

anegdoty pana Towarnickiego



Kultura może być rozumiana na różne sposoby. Encyklopedia PWN definiuje ten termin jako „[...] to wszystko, co w zachowaniu się i wyposażeniu członków społeczeństw ludzkich stanowi rezultat zbiorowej działalności.” Zbliży nas to zatem do definicji materialnej — kultura jako rzeczy, przedmioty, etc. Kulturę można także pojmować jako zbiór pewnych zachowań, których oczekuje się od danej jednostki — kultura osobista jest tego przykładem. Kulturą można także nazywać ogólne dążenia ludzkie do doskonałości tak umysłowej jak i fizycznej. Jednak dzisiejszą anegdotkę poświęcę zupełnie innej kulturze, mianowicie kulturze w dyplomacji.

Gdy mówimy o tzw. dyplomacji i kulturze nasuwa się, stworzona dość niedawno, koncepcja dyplomacji kulturowej. Polega ona na takim nawiązywaniu kontaktów międzynarodowych, dzięki którym jesteśmy w stanie poznać i uszanować wzorce kulturowe innych cywilizacji, a także polepszyć wizerunek naszego kraju za granicą. Wniosek zatem taki, iż wzajemne poznanie ułatwia współpracę. Tak jednak nie stało się w przypadku dyplomacji francuskiej, która w XIX w. doprowadziła do podboju Algierii. A rzecz miała się tak: w 1827 r. francuski gubernator w Algierii, Pierre Deval, prowadził rozmowy z dejem Hussajnem na temat spłaty długów za dostawy zboża dla armii francuskiej. Spór trwał od dawna i nie rokował na szczęśliwe zakończenie, bowiem dej oskarżał Francuzów o spiskowanie przeciw niemu oraz rzekomą rozbudowę francuskich fortów celem stworzenia kolonialnych przyczółków. Ostatecznie, gdy Deval nie podał satysfakcjonującej odpowiedzi Hussajnowi, ten wymierzył mu cios... packą na muchy. Król Karol X uznał to za akt lekceważenia francuskiego urzędnika i nakazał wystosować przeprosiny. Na próżno oczekiwał tegoż aktu pokory. Francuzi zablokowali porty na prawie 3 lata, a gdy znów podjęli próby negocjacji, dej nakazał otworzyć ogień. I tak incydent z packą doprowadził do wojny z Algierią, w wyniku której do lat 50. XIX w. Francuzi zajęli cały kraj i uczynili go swoją kolonią.

Inną dość ciekawą historią, gdzie w pewien sposób zachowano kulturę dyplomacji, był słynny spór o Faszodę w 1898 r. Miejscowość ta, położona dziś na terenie Sudanu Południowego, stała się przedmiotem sporu między Francją a Wielką Brytanią. Obydwa państwa, które dokonywały w XIX w. kolonizacji Afryki, ustanowiły granice swoich terytoriów idealnie na środku kontynentu (warto dodać, że wyznacznikiem tych granic miały być linie kolejowe: Dakar-Dżibuti dla Francji i Kair-Kapsztad dla Wielkiej Brytanii). W 1896 r. kapitan Jean-Baptiste Marchand wyruszył z Brazzaville w Kongu i ostatecznie po dwóch latach dotarł do wspomnianej Faszody. Na ten ruch nie godzili się Brytyjczycy, toteż po kilkunastu tygodniach w mieście pojawił się niedawny zwycięzca spod Omdurmanu, generał-major Horatio Kitchener i zażądał wycofania się Francuzów. Postawa obydwu dżentelmenów przybierała coraz bardziej znamiona otwartego konfliktu, którego lepiej było uniknąć, w obliczu rosnącej potęgi zjednoczonych Niemiec. Wielka dyplomacja pozostała zatem w rękach nie tylko polityków francuskich, zwłaszcza ministra Théophile’a Delcassé’ego, ale także samych wojskowych. Marchand, który przystał na rozmowy, utrzymywał stanowisko, że nie podejmie decyzji bez rozkazu z góry. Spotkanie, wydawać by się mogło, zwycięskie dla Francuza, który uznał niższość Kitchenera, wszak Anglik nie pokalałby się mową francuską. Jakież zdziwienie musiało nastać na twarzy kapitana, gdy ów Anglik przybył na rozmowy w mundurze admirała francuskiej marynarki wojennej, a żeby jeszcze tego było mało, prowadził rozmowę płynnym francuskim. Na szczęście, po starannych zabiegach dyplomatycznych, konflikt udało się zażegnać, a obydwu państwa ustanowiły ostatecznie granice swoich kolonii. Niedługo potem szczęśliwie zawarły porozumienie w 1904 r., ale to już opowieść na zupełnie inną anegdotkę.

Trochę magii i teorii o tym, jak muzyka wpływa na mózg

Wyobraź sobie taką sytuację: siedzisz w swoim pokoju, za oknem typowy szary listopad, ładna pogoda wybrała się na wakacje. Bura ulewa targa uschłymi drzewami, gdy nagle słyszysz w oddali jakieś dźwięki. Już po chwili rozpoznajesz w nich doskonale znaną Ci melodię – dokładnie tę, przy której upłynęły Ci ostatnie dni ciepłego lata; tę, przy której tak błogo płynął czas spędzony wśród Twoich najbliższych. I niespodziewanie, mimo ponurej aury za oknem... uśmiechasz się.

Muzyka ma przeogromny wpływ na ludzi. Prawdopodobnie, już w dalekiej prehistorii, kiedy pierwsze wyprostowane kroki stawiał nasz praprzodek homo erectus, muzyka odgrywała w jego życiu ważną rolę. W czasach początków komunikacji międzyludzkiej pierwsze plemiona przekazywały sobie radosne wieści podczas euforycznego śpiewu i tańca, najczęściej gromadząc się wokół ognia. I nikt wtedy nie ściemniał, że nie umie śpiewać.



To jednak same początki, o których można jedynie snuć domysły. Nad magią (dosłowną w tym znaczeniu) muzyki zaczęli rozmyślać jako pierwsi (oczywiście!) filozofowie greccy. Badając świat, natrafili na tajemniczą sprawę mu-

zyki. Oprócz załączków pokrętnego muzycznego języka, który zawdzięczamy Pitagorasowi, nad tym tajemniczym zjawiskiem dumał Platon, który uważał tę formę sztuki za coś harmonijnego i w gruncie rzeczy całkiem przydatnego. Grecy zdali sobie wtedy sprawę z tego, że różne brzmienia działają na człowieka w różny sposób. Po długich przemyśleniach opracowali nawet szereg skal, które podobno wpływały na nastrój ludzi.

Jak to właściwie się dzieje, że słysząc łagodne dźwięki, powoli się uspokajamy, zaś gdy zabrzmia ostre, żywiołowe tony, od razu mamy więcej energii? Zacznijmy od tego, w jaki sposób odbieramy różne melodie. Nasz najzdolniejszy system operacyjny w głowie – mózg – odbiera fale akustyczne, które przekształca i odczytuje jako różne brzmienia. Następnie, jak zazwyczaj po jakiejś akcji, musi nastąpić reakcja. Dobrym przykładem są kołysanki. Utało się, że marudzącemu niemowlakowi dobrze jest nucić jakąś spokojną melodię, by zasnął. I jest to bardzo sprytne rozwiązanie! Mózg, odbierając delikatny, czuły głos matki, wysyła impulsy do układu nerwowego, które wpływają tu na uspokojenie oddechu, bicia serca a nawet zmiany temperatury ciała. Z drugiej strony muzyka może napełnić nas niepokojem i przyprawić o palpacje serca. Oglądając horrory czy thrillery, rzadko już zwracamy uwagę na tło muzyczne, a bądź co bądź to ono właśnie nadaje im klimat.



Idąc tym tropem, muzyka może wpływać na nasze emocje. Niektóre kawałki same porywają do tańca; na dźwięk innych chciałoby się tylko wejść pod koc i płakać. I odczuwanie tego jest absolutnie normalne. Bierze się to również z kolejnej niezwyklej, chociaż czasem podstępnej umiejętności mózgu, jaką jest pamięć. Zmysł słuchu jest drugim po zapachu, który zostawia w naszych wspomnieniach najtrwalsze ślady. Dlatego tak często pamiętamy pogodne piosenki z ciepłych lat dzieciństwa jak i również doprowadzające do skrajnej irytacji melodie i teksty z reklam.



Czy więc muzyka pomaga zapamiętywać, a co za tym idzie, skutecznie się uczyć? No cóż, zdania na ten temat są podzielone. Owszem, magiczną mocą muzyki jest to, że potrafi ona odciągnąć nasze myśli od cięższych spraw i pozwolić się skoncentrować. Gdy jednak zbyt mocno się na niej skupimy, prawdopodobnie będzie tylko jednym z rozpraszaczy przeszkadzającym w ważnych czynnościach.

W gruncie rzeczy słuchanie i tworzenie muzyki mają pozytywny wpływ na człowieka. Słuchając ulubionych kawałków, możemy odciąć się na chwilę od chaosu świata. Lub wręcz przeciwnie, wyżyć się na tym, co nas w nim boli. Naukowcy wykazali, że muzycy chorzy szybciej dochodzą do siebie i najczęściej potrzebują mniej leków niż ci obojętni na muzykę. U zdrowych osób z kolei muzyka zwiększa koncentrację, zdolność uczenia się, kreatywność, pamięć, a dodatkowo poprawia nastrój. Ponoć już samo myślenie o ulubionej muzyce powoduje uruchomienie w mózgu tzw. ośrodka nagrody, jak twierdzi Robert Zatorre, naukowiec badający reakcje mózgu na muzykę.

Jak widać, warto słuchać muzyki. Czyni nas ona bardziej wrażliwymi na świat, ale również pozwala z niego chociaż na chwilę uciec. Ważne jest też, by nie zmieniać swojego gustu muzycznego pod presją innych. Sami najlepiej wiemy, co sprawia nam największą radość.



Źródła:

- naukatolubie.pl/wplyw-muzyki-na-mozg [dostęp: 03.11.2023]
- infomusic.pl/poradnik/42270,mozg-na-koncertcie-czyli-o-zwiazkach-muzyki-z-biologia [dostęp: 03.11.2023]

tekst: MATYLDA SZPOTON

ilustracje: KASIA MUSIAŁ (edytowane cyfrowo)

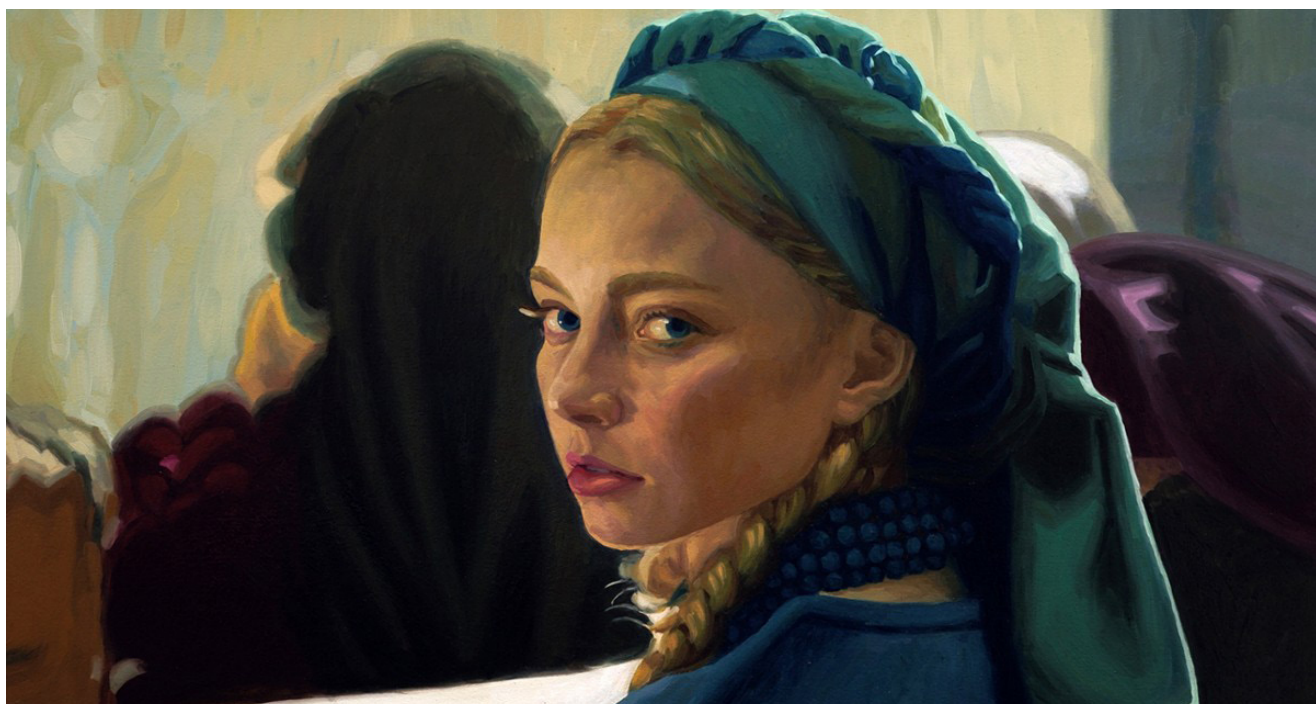


Wesoły nam 13 października nastął, czyli o wrażeniach z przedpremiery welchmanowskich *Chłopów*

Z trudem przypominam sobie inną filmową premierę, której daty wypatrywałam z ekscytacją równą tej doświadczonej podczas oczekiwania na *Chłopów* w reżyserii DK i Hugh Welchmanów. Z tego też powodu obejrzałam film nieco wcześniej, bo 10 października, podczas pokazu przedpremierowego zorganizowanego przez Kino Pod Baranami.

Jako że w kulturze i sztuce – co dotychczas, zdaje się, było skłonnością nieuświadomioną – zwykłam poszukiwać ludowości, z uwagą przyglądam się tzw. zwrotowi ludowemu; zjawisku, które to w ostatnim czasie wyraźnie daje

się na naszym polskim gruncie zauważyć. Za jego właściwy początek uznałabym cykl tekstów wydawanych na łamach polskiej edycji *Le Monde diplomatique* przez Przemysława Wielgosza w ramach szerszego – bo obejmującego również szereg spotkań i wykładów – projektu *Ludowa historia Polski*. Przygotowany w ten sposób grunt okazał się glebą wydającą obfite plony – kolejne lata przynoszą bowiem coraz to nowe pozycje wydawnicze zorientowane na chłopską tożsamość Polek i Polaków – od *Ludowej historii Polski* Adama Leszczyńskiego począwszy, na zdobywającej szczyty księgarskich list popularności *Chłopkach* Joanny Kuciel-Frydryszak skończywszy. Nie myśl jednak, Drogi_a



Czytelniku_czko, że to słowo pisane wiedzie w tej materii prym. Na kwestię niechcianego, chłopsko-pańszczyźnianego rodowodu polskiego społeczeństwa jako pierwszy zwrócił uwagę... teatr. Jakże słyszalnym okazał się wydany w 2011 r. głos znamienego duetu Strzępka-Demirski — *W imię Jakuba S.!* Zresztą mające swoje premiery później: *Słowo o Jakobie Szeli* Michała Kmiecika i Piotra Morawskiego, *Obywatele 1918* Małgorzaty Litwinowicz-Drozdziel czy — wzięwszy przykład z naszego krakowskiego podwórka — *Baśń o węzowym sercu* Beniamina M. Bukowskiego wg powieści Radka Raka były równie szeroko komentowane. Chłopi Welchmanów, czyli adaptacja dzieła Władysława Stanisława Reymonta o tym samym tytule, nie pojawia się więc w próżni. Polsko-brytyjskie małżeństwo, zauroczone niezwykłą plastycznością języka reymontowskiej powieści, postanowiło obrać malarski sposób opowiadania odczytanej na nowo historii. To nie pierwsza taka decyzja duetu Kobiela-Welchman — w 2017 r. swoją premierę miał bowiem *Twój Vincent* z Saoirsa Ronan w obsadzie (tytułowa postać z *Lady Bird* w reżyserii Greta Gerwig, Jo z *Małych kobietek* tej samej reżyserki), który w walce o oscarową statuetkę stanął w szranki z ostatecznie nagrodzoną *Coco*.

Najnowszą swoją produkcję Welchmanowie głęboko osadzili w epoce-matce reymontowskich *Chłopów* — Młodej Polsce. *Chłopi* welchmanowscy, wyrastając z neoromantycznego zwrotu ku wiejskiemu życiu, obfitują w aluzje malarskie do twórczości najwybitniejszych przedstawicieli polskiego modernizmu. I ta neoromantyczność właśnie wybija się w filmie na pierwszy plan. Wbrew zapowiedziom Marii Janion, zdaje się, że paradygmat romantyczny wciąż ma się świetnie w naszej kulturze. Oprócz „pól malowanych zbożem rozmaitem” przez stu dwudziestu pięciu malarzy polskich, litewskich, serbskich i ukraińskich, w realizacji DK i Hugh Welchmanów, na wskroś romantyczna jest także Jagna (w tej roli Kamila Urzędowska). Dzięki ponownemu, współczesnemu odczytaniu powieści Reymonta, staje się ona czułą przewodniczką po Lipcach. Mając w pamięci motto *Romantyczności* Adama Mickiewicza, zaryzykuję wręcz stwierdzeniem, że film ogląda się niejako oczyma Jagninej duszy. Wpatrzone z zachwytem w unoszone na wietrze dmuchawce i pajęczce nici bohaterka marzy o uczepleniu się którejs z chmur i przekroczeniu horyzontu dziewiętnastowiecznej wsi — rzeczywistości, do której dramatycznie wręcz nie przystaje. Filmowa Jagna jest uosobieniem wszystkiego, co subtelne, niestałe, a także... bezwolne. I właśnie tego braku sprawczości postaci brakuje mi w interpretacji Kamili Urzędowskiej najbardziej. Wszak jej literackim pierwowzorem jest kobieta, dla której kochliwość stanowi źródło żywiołowej witalności — nie udręki samej w sobie. Odczytuję intencje Doroty Kobieli, jednak reymontowską kreację kobiety świadomej swojej

zmysłowości, którą pisarz wyprzedził nie tylko swoją, ale i — po części — naszą epokę, uważam za interesującą na tyle, by nie tylko jej nie porzucać, a wręcz uwydatnić. Za prawdziwy mankament welchmanowskich *Chłopów* uważam jednak charakteryzację postaci; w szczególności postaci kobiecych. Odświeżone stroje, korale, wyraźnie zauważalny — mimo wielu, nakładanych jedna po drugiej, warstw farb malarskich — makijaż z pewnością nie zaliczają się do chłopskiej codzienności. To, moim zdaniem, rażące niedociągnięcie, które trudno czymkolwiek wytłumaczyć.

Na szczęście film Welchmanów składa się również z wielu jasnych punktów. Do takich punktów z pewnością należy doskonały casting. Oprócz wspomnianej przeze mnie Kamili Urzędowskiej, która, przynajmniej w zaprezentowanym przez reżyserkę ujęciu, Jagną Paczesiówną po prostu jest, znakomicie wypada również Robert Gulaczyk (Vincent van Gogh z *Twojego Vincenta*) w roli Antka oraz Mirosław Baka — parafrazując słowa filmowej Jagustyńki (nawiasem mówiąc, Jagustyńka w Dorocie Stalińskiej musiała się chyba odrodzić; centralne miejsce przy stole konferencyjnym 48. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych zajmuje nie siedemdziesięcioletnia absolwentka Akademii Teatralnej im. Aleksandra Zelwerowicza, a komornica o niezwykle ciętym języku opisana przez Reymonta na kartach swojej powieści) — Maciej Boryna z krwi i kości; nie z papieru jak wycinanki Jagny. Sceny z udziałem obu panów są tymi o najbardziej wiarygodnej dynamice. Emocje prezentowane przez Gulaczyka i Bakę są prawdziwe, a ich mimika niewymuszona. Jedno Antkowe spojrzenie uzewnętrznia to, czego słowem wyrazić nie sposób — ułożone w podkowę usta przywodzą na myśl zaciśniętą pięść, którą młody Boryna nauczył się rozwiązywać problemy. Dzięki misji metaforycznej obrony Antka, do której sam siebie zobowiązał Robert Gulaczyk, w postaci tej można, a przynajmniej ja jestem w stanie, odnaleźć pewną wrażliwość. To taki czuły barbarzyńca — człowiek o odrażającym usposobieniu, który, mimo wszystko, wzbudza pewną litość. I o ile litość ta nie będzie przysłaniała powagi Antkowych występków, ten aktorsko-reżyserski zabieg mogę uznać za udany. Gwiazdą świecącą w welchmanowskich *Chłopach* najjaśniej zdecydowanie jest Mirosław Baka, którego dotychczas kojarzyłam głównie z rolą Jacka w *Krótkim filmie o zabijaniu* Krzysztofa Kieślowskiego. Jego najnowsza kreacja jest moją ulubioną; dokładnie takim wyobrażałam sobie literackiego Macieja Borynę — bohatera o ciężkiej ręce i miękkim sercu. Ukazana w filmie scena jego śmierci, skądinąd w znakomity sposób opisana przez Reymonta, poruszyła mnie do głębi. Stanowi mit biblijnego Siewcy, który, uświęcony rolniczym obrzędem, oddaje ostatni hołd matce-Ziemi i swojemu życiu gospodarza.

Z obrazem tym wspaniale współgra muzyka skomponowana przez Łukasza „L.U.C-a” Rostkowskiego. W poszukiwaniu idealnej formy muzycznej *Chłopów*, Rostkowski powołał specjalny skład międzynarodowej orkiestry Rebel Babel, którą zasilili niemal stu muzyków z różnych państw – między innymi z Polski, Ukrainy czy Białorusi. Stworzone w wyniku tej współpracy kompozycje to swoiste kompendium słowiańskiej muzyki folkowej. Jako że album w wersji zdigitalizowanej dostępny jest we wszystkich serwisach streamingowych, zachęcam Cię, Drogi_a Czytelniku_czko, do wysłuchania choć jednego z tych dwudziestu jeden utworów – a nuż któryś przypadnie Ci do gustu ;). Z jedną z muzycznych ilustracji wiąże się pewna historia. Jak już wspomniałam, na welchmanowskich *Chłopów* wybrałam się do Kina Pod Baranami, które – jako jedno z nielicznych – organizowało pokazy przedpremierowe tego filmu. Wydarzenie rozpocząć miało się we wtorek o godz. 18:00, jednak moja ekscytacja sięgała zenitu już o poranku. Ni stąd, ni zowąd przypomniałam sobie o istnieniu niegdyś dobrze znanej mi pieśni rezurekcyjnej, której tekst doskonale opisywał mój stan wewnętrzny. Ku mojemu zaskoczeniu, pieśń nie dawała mi spokoju aż do momentu dotarcia do Kina Pod Baranami, tak więc z fragmentem: „Wesoły nam dzień dziś nastał,/ Którego z nas każdy żądał.” na ustach, zasiadłam w kinowym fotelu.

Jakież było moje zdumienie, kiedy podczas jednej z najbardziej przejmujących scen usłyszałam aranżację tej właśnie pieśni...! (Tytuł tego utworu to *Alleluja*, w zdigitalizowanej wersji albumu znajdziesz go pod numerem 17.) Doświadczenie to wstrząsnęło mną do żywego; muszę przyznać, że po dziś dzień waham się, czy nie łączyć go z pewnego rodzaju metafizyką. A skoro o silnych przeżyciach mowa, nie mogłabym nie wspomnieć o scenie finałowej, która, zdaje się, jest najlepszym z możliwych domknięciem Jagniej historii. Nie pamiętam, kiedy ostatnio wyszłam z sali kinowej tak usatysfakcjonowana zakończeniem filmu. Niełatwo jest mi również przywołać moment opuszczania jej z poczuciem przeżycia katharsis, a nie będzie nadużyciem, jeżeli napiszę, że to właśnie jego w sztuce – nie tylko filmowej – pragnę doświadczać (moi bliscy są tych dążeń świadkiem). Pełna radości, jednej z ważnych dla mnie osób przekazałam po seansie, że w produkcji Welchmanów odnalazłam zarówno litość, jak i trwogę.

I to oddziaływanie na psychikę odbiorcy_czyni uważam za przodującą zaletę nowej ekranizacji *Chłopów* Reymonta. Film ten udowadnia, że opisana na kartach powieści historia ma wymiar uniwersalny, a dawne teksty z powodzeniem można prezentować współczesnym widzom_kom – także tym, którzy nie poznali literackiego pierwowzoru.



Słów kilka o tym, co dalej

Zwykle nie należy przedstawiać swoich zamiarów na początku tekstu, jednak w tym wypadku zrobię wyjątek i jasno zaznaczę, kim jestem oraz co mam zamiar wam przekazać — jestem byłą członkinią redakcji *Dychy* oraz tegoroczną absolwentką liceum. Chciałabym podzielić się z Wami kilkoma spostrzeżeniami na temat tego, jak wyglądał dla mnie czas okołomaturalny, najdłuższe wakacje życia oraz w jaki sposób udało mi się dostosować do nowej rzeczywistości, jaką są studia. Opowiem tutaj wyłącznie o moich doświadczeniach, ponieważ nie byłabym w stanie wymienić wszystkich możliwości tego, co może się zdarzyć, ani wypowiadać się w imieniu osób, które po maturze zdecydowały się na rok przerwy od dalszej nauki, które poszły do pracy lub które w ogóle nie mają zamiaru kontynuować edukacji, czy też w imieniu tych, którzy wyjechali na studia za granicę. Każde z tych doświadczeń jest inne, a ja postaram się przybliżyć wam swoje. Kieruję te słowa w szczególności do osób, które nie są pewne swojej przyszłości, mają wątpliwości co zrobią po napisaniu matury lub po prostu są ciekawe tego, czym jest czas „po” — po maturze, po wakacjach, po pierwszym zetknięciu się ze studiami.

Z perspektywy czasu stwierdzam, że niepotrzebnie tak bardzo stresowałam się tą-wielką-przerażającą-rzecz, czyli egzaminem maturalnym. Oczywiście, jeśli chcemy dostać się na wymarzoną uczelnię, to bezsprzecznie trzeba przyłożyć się do nauki i spróbować dać z siebie wszystko, jednak nie należy popadać w skrajność. Poziom stresu, który odczuwałam tuż przed maturą, sprawił, że na same

egzaminu szłam niemal odrętwiała. Jak się później okazało, wszystko, na czym mi najbardziej zależało, zdałam bez większego problemu, więc dochodzę do wniosku, że mogłam bardziej zrelaksować się i zadbać o swoje samopoczucie. Rada, którą w związku z tym daję, jest prosta — nie odkładajcie nauki na ostatnią chwilę, a jednocześnie nie wierzcie, jeśli ktoś wam mówi, że matura to najważniejsze, co Was w życiu czeka. Jeżeli jest to egzamin ustny z języka angielskiego, w którym czujecie się pewnie i którego uczyliście się sumiennie przez całe liceum, śmiało zostawcie sobie tydzień na poćwiczenie wypowiedzi, czasów gramatycznych i przerobienie arkuszy maturalnych. Jednak próba omówienia samemu wszystkich lektur obowiązkowych na egzamin z języka polskiego w ostatni weekend przed maturą (bo wcześniej stwierdziliście, że ogarniecie to później) nie jest warta stresu, z jakim przyjdzie Wam się zmierzyć, gdy rzeczywiście zaczniecie powtarzać materiał i uświadomicie sobie, ile jeszcze przed Wami, i gdy z niepewnością co do własnej wiedzy będziecie czekać przed salą egzaminacyjną. Uwierzcie mi, wasze zdrowie psychiczne jest ważniejsze. Co się tyczy drugiej części rady — matura jest bardzo ważna, ale nie podchodźcie do niej jak do mitycznego stwora, który połknie Was przy pierwszej okazji. W gruncie rzeczy to jedynie kolejny sprawdzian, tylko tym razem ze wszystkiego i trochę ważniejszy. Trochę.

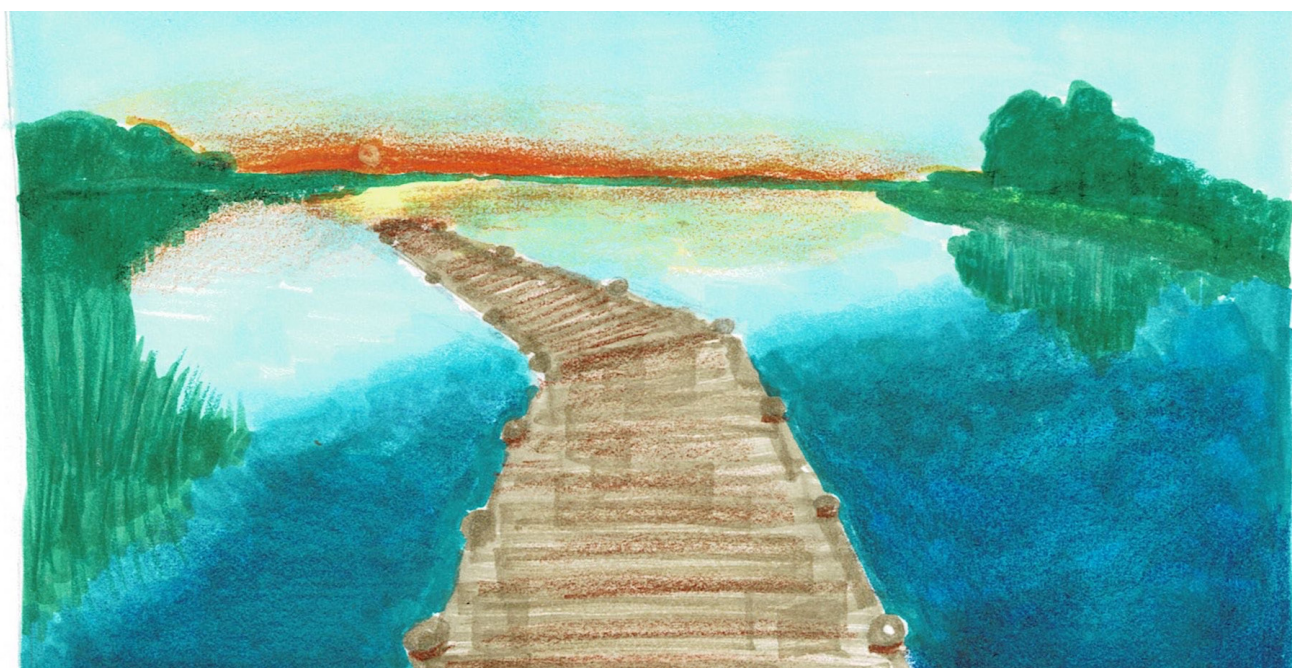
Ulga, którą poczujecie po otrzymaniu informacji, że zdałicie każdy egzamin — czego z całego serca wam wszystkim życzę — jest niemal namacalna. Jeżeli przed maturą będziecie mieli w sobie jeszcze odrobinę energii na



robienie czegokolwiek innego niż nauka, to zachęcam do zaplanowania sobie chociaż jednego wyjazdu gdzieś w głąb Polski, lub nawet za granicę, jeśli budżet wam na to pozwoli. Mnie udało się wyjechać z grupą przyjaciół na dwa tygodnie do domku nad jeziorem, gdzie ledwie mieliśmy kontakt z cywilizacją. Przez ten czas leżeliśmy na pomoście, oglądaliśmy gwiazdy, czytaliśmy książki i słuchaliśmy muzyki, gotowaliśmy, chodziliśmy na wycieczki, pływaliliśmy i prowadziliśmy sesje gry – „Talisman: Magia i Miecz”, do późnych godzin nocnych. W skrócie: nie robiliśmy absolutnie nic produktywnego. Ale właśnie tego nam było trzeba. Po ukończeniu liceum potrzebowaliśmy czasu, by móc zresetować i zrestartować umysł. Był to swego rodzaju pomost łączący czas, który spędziliśmy w liceum, i nasze późniejsze życie na studiach. Dzięki tak długim wakacjom zmiana między liceum a uczelnią jest mniej gwałtowna. Jeżeli chcecie maksymalnie wykorzystać te wakacje i spędzić je jak najbardziej aktywnie, to jest to świetny pomysł, ale dajcie sobie chwilę na to, aby wchłonąć świadomość zmiany i tego, że razem z początkiem nowego etapu waszego życia, zakończy się ten, który znaliście do tej pory. Początkowo pogodzenie się z myślą opuszczenia liceum może być trudne – nawet dla tych, którzy nie będą go wspominać z przyjemnością. Każda zmiana pozostawia gorzki posmak i wątpliwości, niezależnie czy jest ona zmianą na dobre, czy na złe. Jeśli dacie sobie czas na przyswojenie i przemyślenie wszystkich zmian, zamiast odpychać je na dalszy plan, na później, łatwiej będzie wam sobie wszystko poukładać i przygotować się na to, co nadejdzie. Ostatecznie nie ma dobrego sposobu na spędzenie wakacji. Jest tylko jeden i najważniejszy cel – odpocząć i czuć się mentalnie gotowym na dalsze wyzwania. Jeśli wasi znajomi osiągają ten cel aktywnie, to nie czujcie się gorzej, dochodząc do niego przez kompletną bezczynność.

Nie ma sensu w licytowaniu się, czyje wakacje były lepsze, o ile jesteście szczęśliwi z powodu tego, jak je spędziliście.

Młodsza Ja, słysząc słowo „student”, wyobrażała sobie osobę dorosłą i poważną, która ma w życiu wszystko poukładane (może poza życiem towarzyskim), czyli zupełnie inną od tego, jak sama obecnie się czuje. W mojej osobie i w moim zachowaniu nie zmieniło się absolutnie nic w porównaniu do tego, kim byłam w liceum. Nadal czuję się zagubiona, nieprzygotowana i niepewna tego, co na mnie czeka. Miła jest świadomość, że spośród osób, które poznałam na studiach, większość ma podobne odczucia – jesteśmy grupą młodych dorosłych rzuconych w wir obowiązków, czyli po prostu kolejny etap edukacji. Nic nie wiemy, ale przynajmniej jesteśmy w tej niewiedzy razem, co – zadziwiająco – stanowi duże pocieszenie. Jeśli zdecydujecie się podjąć dalszą edukację na studiach i jednym z Waszych zmartwień będzie to, w jaki sposób uda Wam się poznać nowe osoby, to nie próbujcie myśleć o tym zbyt dużo. Jeśli Was to stresuje, przy pierwszym spotkaniu osób z waszej grupy na studiach, przykładowo podczas spotkania organizacyjnego, podejdźcie do losowo wybranej osoby i przedstawcie się, zanim Wasz umysł zdąży zarejestrować, co się dzieje i odwieść Was od tego pomysłu. Są bardzo duże szanse, że rozmowa sama jakoś się skleci, a nawet jeśli nie, to przynajmniej poznaliście kogoś nowego i macie już jakiś punkt zaczepienia do rozpoczęcia kolejnej rozmowy. W większości, inni świeżo upieczeni studenci boją się podejść do nieznanomych osób równie bardzo, jak Wy, więc zróbcie ten pierwszy krok i powiedzcie coś głupiego. Jeśli zaczną się śmiać i przekształcą niezręczność sytuacji w okazję do stworzenia więzi, zamiast Was oceniać – właśnie zyskaliście nowego znajomego. Jeśli okażą się kimś, z kim nie chcecie się zadawać, podejdźcie



do kolejnej osoby. Przynajmniej będziecie już wiedzieć, kogo unikać. I jeszcze jedno: jeżeli przez pierwsze dwa tygodnie nie będziecie mogli zapamiętać imion, to się tym za bardzo nie przejmujcie. Nikt ich nie pamięta.

Zaskakująco szybko można przyzwyczać się do zmiany otoczenia i środowiska, szczególnie gdy środowisko akademickie w rzeczywistości nie różni się aż tak bardzo od licealnego. Może za wyjątkiem tego, że mimo zmęczenia, każdy z nas chce tu być, bo nareszcie uczymy się wyłącznie tego, czego chcemy i co nas interesuje. Pozostając w tym temacie: czy studiuję kierunek związany z moim profilem w liceum? Zdecydowanie nie. Idąc do liceum, wciąż czułam na sobie obowiązek spełnienia oczekiwań rodziców względem mojej osoby i też sama, nieco naiwnie, liczyłam, że będę w stanie odnaleźć się na jakimkolwiek profilu, więc równie dobrze mogę wybrać ten najbardziej, według mnie, wymagający – profil biologiczno-chemiczny. Po drugim roku czułam, jak ziemia pali mi się pod nogami i żałowałam tej decyzji jak żadnej innej. W konsekwencji zaczęłam wątpić w swoją umiejętność podejmowania decyzji. Bo skoro raz wybrałam tak fatalnie, to skąd mogę mieć pewność, że tym razem nie wybiorę jeszcze gorzej? Posłuchałam jednak głosu serca i, mając już tak bardzo dość ciągłej nauki czegoś, co niekoniecznie mnie interesuje (wciąż uważam, że biologia i chemia są bardzo interesujące, jednak po prostu nie są dla mnie), zdecydowałam, że teraz pójdę inną ścieżką. Po tym, jak jakimś sposobem udało mi się przebrnąć przez ostatnią klasę i zdać rozszerzoną maturę z j. angielskiego i j. polskiego na w miarę zado-

walającym poziomie, złożyłam zgłoszenie rekrutacyjne na filologię angielską. Progi punktowe w tym roku były dość wysokie, ale na szczęście udało mi się uzyskać status zakwalifikowanej już podczas pierwszej tury rekrutacji.

Jak do tej pory, nie ma ani jednej rzeczy, na którą mogłabym narzekać. W końcu mogę uczyć się tego, co mnie interesuje, i nareszcie widzę, z jaką łatwością przychodzi mi nauka, jeśli jest to coś, co sprawia mi przyjemność. Możliwe, że nie była to najlepsza decyzja, jaką mogłam podjąć, bo tego, która z pozostałych decyzji była lepsza, nigdy się nie dowiem. Nie ma sensu teraz roztrząsać, co by było „gdyby” – wybrałam, a teraz muszę zrobić jak najlepszy użytek z tego wyboru, podobnie jak wybrałam profil w liceum, po czym musiałam zmierzyć się z konsekwencjami swojej decyzji. Tym razem już od samego początku czuję się szczęśliwa.

Pewne jest to, że jeden wybór prowadzi tylko do kolejnych, a nie przekreśla całą Waszą przyszłość. Najprawdopodobniej o słuszności Waszych decyzji przekonacie się dopiero, gdy upłynie nieco czasu od ich podjęcia – niewykluczone, że bardzo dużo czasu. Dlatego nie bójcie się podejmować decyzji i weźcie sprawy w swoje ręce, bo inaczej życie zdecyduje za Was. Nie bójcie się próbować nowych rzeczy i szukać siebie, teraz, kiedy jesteście młodzi. Istnieje duża szansa, że spróbujecie kilku rzeczy i kilka innych Wam nie wyjdzie, zanim znajdziecie to, co chcecie robić, więc nie przejmujcie się tym, że coś może Wam teraz nie wyjść, że podejmiecie złą decyzję. Najważniejsze, że próbujecie.



tekst: ZUZANNA PATOŁA
ilustracja: FILIP ZIĘBA

Sztuka wytchnienia

Krople jesiennego deszczu bębniły ponuro w szyby okien, niosąc się echem po niemal całkowicie pustym salonie. Niemal, bo w tym półmroku, sama i wpatrzona w długi, zawiły ciąg obrazów, siedziałam ja.

Stanowiłam w zasadzie dziwne przeciwieństwo tego utrwalonego na płótnie szeregu graficznych historii. Rozpościerające się przede mną malowidła, tak żywe i jaskrawe, mocno kontrastowały z moją ściągniętą ze zmęczenia twarzą, wzbogaconą dodatkowo o puste spojrzenie i złożone w podkowę kąciki ust. Już dawno temu pogodziłam się z tym, że nijak pasuję do tego otoczenia. To był jeden z tych pozornie błahych powodów, dla których nie znosiłam odwiedzać mojej siostry w jej mieszkaniu. Jako szara plamka na tle wyrazistych kolorów, w żadnym stopniu nie czułam się tam dobrze.



Wbrew pozorom nie od zawsze tak było. Jeszcze zaledwie półtora roku temu w dziełach sztuki gromadzonych przez moją siostrę fascynowało mnie niemal wszystko: bijąca od nich energia, kontury kształtów, płynące przekazy. Uwielbiałam doszukiwać się na obrazach widocznych pociągnięć pędzlem i próbować odgadnąć, w jakie historie się układają.

Jednak, to było jeszcze przed czasem pustki, na długo zanim moje własne historie zaczęły blaknąć gdzieś w połaci bezdennej mroku duszy.

Właściwie nie potrafiłam w pełni określić, co tak naprawdę mi dolega. Na pospolite: jak się czujesz?, odpowiadałam w zasadzie już tylko kłamstwem, ale nie dlatego, że za wszelką cenę chciałam uniknąć przyznania się do mojego prawdziwego stanu. Ja po prostu nie wiedziałam, jak się czuję. Każdego dnia rodzina i przyjaciele zasypywali mnie masą pytań, na które odpowiedzi nie mogłam udzielić. Jak miałam wyjaśnić rodzicom, czemu ich mała córeczka

tak nagle zaczęła gasnąć w oczach, skoro sama nie byłam tego do końca pewna?

Może to był powód, dla którego sztuka wprawiała mnie obecnie w tak wielki dyskomfort. W moim wyobrażeniu artyści zdawali się być tacy... spełnieni. Mieli pomysł na siebie i na to, co tworzą. Definiowała ich częśćka złożona z emocji i uczuć; z pasji i poczucia przynależności. Wszystko, nad czym pracowali, pochodziło z głębi.

A ja? Ja czułam się wybrakowana, kompletnie pusta w środku. Nie definiowała mnie żadna konkretna częśćka, a pomysł na siebie straciłam już jakiś czas temu. Dlatego właśnie w moim postrzeganiu sztuki poddałam się jedynej emocji, jaką aktualnie odczuwałam: zazdrości.

- Znowu myślisz, co?

Wzdrygnęłam się, słysząc rozbrzmiały za moimi plecami znajomy damski głos. Powiodłam wzrokiem w kierunku drzwi wejściowych, a moje spojrzenie zawisło na wspartej o framugę sylwetce właścicielki mieszkania. Kobieta krzyżowała ramiona na piersi, po jej twarzy błąkał się zmartwiony uśmiech. Zaczekała, aż gestem dłoni zaproszę ją do siebie, a potem z gracją usiadła na krześle obok mnie.

- Można tak powiedzieć – odparłam z udawaną nonszalancją w głosie, ale nie w postawie. Dalej siedziałam napięta jak struna, co tylko spotęgowało podejrzliwość towarzyszki.

- Martwię się o ciebie – wyznała moja siostra ze smutkiem. Ucieszyło mnie, że zwraca się do mnie bez użycia imienia. Musiała pamiętać, jak bardzo nie znoszę tej przypisanej mi od urodzenia formy. Całe szczęście. – Nie możesz tak ciągle siedzieć w domu, pogrążona w myślach. Musisz znaleźć coś, na czym będziesz mogła się skupić.

- To mi nie pomoże, przecież wiesz.

- Pomóc nie pomoże, ale chociaż przyniesie chwilową ulgę – obstawała dziewczyna przy swoim. – Próbowałaś już czegoś? – drążyła temat, nieugięta. – Czytałaś? Rysowałaś? Może zapisałaś się na jakieś zajęcia?

- Niczego nie próbowałam – przyznałam półgłosem, wrzuszyszy ramionami. – Prawdę mówiąc, nawet nie przeszło mi to przez myśl.

- Mogłabyś coś namalować. – Pomysł ledwo wybrzmiał, a moja siostra już podnosiła się z fotela, gotowa wdrożyć plan do działania. – Tak, to jest to. Zawsze podobała ci się sztuka. Poczekaj chwilę, pójde po jakieś kartki.

Wyszła z salonu, zostawiając po sobie jedynie echo zawieszonych w powietrzu deklaracji. Westchnęłam ciężko, bardziej zmęczona niż zrezygnowana. Na powrót siostry nie musiałam czekać długo; po zaledwie minucie znalazła się znowu przy mnie, tym razem z ołówkiem i stosem kartek w ręce. Położyła je wszystkie na stole tak delikatnie, jak gdyby obchodziła się co najmniej ze skrawkami nadziei. Jej zachowanie zakrawało na lekką przesadę, ale powstrzymałam się od komentarza. Dla świętego spokoju poszłam siostrze najszczerzy uśmiech, na jaki tylko było mnie stać, a ona z cichą satysfakcją wycofała się do innego pokoju, nawet demonstracyjnie zamykając drzwi.



Ten drobny gest wzbudził we mnie żal, jakiego dotychczas nie znałam. Nie miałam najmniejszej ochoty pobudzać wyobraźni do wykreowania czytelnego, zdatnego do przelania na kartkę obrazu, jednak czułam, że jestem to winna siostrze. Musiałam coś dla niej zrobić, chociaż ten jeden raz.

Ołówek ułożył się miękko w zagłębieniu mojej dłoni, kiedy po dłuższym zastanowieniu podniosłam go ze stołu. Ze wzrokiem wlepionym w kartkę papieru zaczęłam układać w głowie obrazy, którymi mogłabym ją wypełnić. Z początku koncepty przychodziły z trudem, kształty nie formowały się tak gładko, jakbym sobie tego życzyła. Chwilę zajęło mi wybranie odpowiedniej scenarii dla mojego rysunku. Gdy jednak tylko zaakceptowałam ostateczny zarys tego, co uporczywie zaczęła nasuwać mi wyobraźnia, wszystko poszło jakoś... łatwiej.

Przystawiłam ołówek do prowizorycznego płótna, a linie jakby same zaczęły spływać z niego na kartkę papieru. W miarę, jak przesuwałam rysikiem po białym podłożu,

szare kreski stopniowo łączyły się ze sobą w kształty. Obraz, który zaledwie chwilę wcześniej chowałam starannie w wyobraźni, teraz nabierał realnych znaczeń.

Pochłonęła mnie powstająca miarowo grafika. W jednej chwili siedziałam pochylona nad kartką papieru, a w następnej już trwałam zatracona kreującą się na moich oczach historią. Wyobraźnia odgradziła mnie od brutalnej rzeczywistości, ściany precyzji pozbawiły poczucia czasu. Nie pamiętałam już, kiedy ostatnio czułam na sercu taką lekkość, jak w tamtym momencie. Moje zmartwienia rozmyły się gdzieś na tle tworzonego obrazu. Nowy cel zdawał się na krótki moment wypełnić tę pustą część wewnątrz mnie, która tkwiła gdzieś w samym środku duszy.

Skończywszy rysować, odłożyłam starty na ćwierć długości ołówki z powrotem na stół. Ręka pulsowała mi od długiego ściskania przedmiotu, jednak ledwo zwracałam na to uwagę. Jak w zamroczeniu podniosłam się z krzesła i cofnęłam o parę kroków, żeby móc lepiej przyjrzeć się własnemu dziełu. Chociaż odznaczało się ono znaczną szarością, miejscowo przeplataną jeszcze z bielą kartki papieru, potrafiłam dokładnie wyobrazić sobie, jak scenaria ta prezentowałaby się spowita w kolorach. Narysowane przeze mnie wzgórza widziałam w końcu wiele lat temu na własne oczy.

Może moja siostra miała rację. Może żadne zajęcie nie mogło w pełni rozwiązać problemu, z jakim się zmagalam. Ale jeśli pasja miała choć trochę przekierować moją uwagę na coś innego niż panujący wewnątrz mnie zamęt, to byłam gotowa podjąć się jej rozwijania.

Bo to właśnie wtedy, w tamtym krótkim momencie, kiedy pochylałam się nad kartką papieru z ołówkiem w ręce i pomyślałam, gdzieś z tyłu głowy, po raz pierwszy od niepamiętnych czasów pomyślałam jedno:

Może to jeszcze jakoś będzie.



Jak to z *Dychą* było?

Czasami, a może nawet często, dzieje się tak, że coś, co wywarło duży wpływ na nasze życie i stało się jego ważną częścią, zaczęło się w sposób przypadkowy, głupi lub śmieszny. Nieraz nawet czujemy się tak, jakbyśmy zostali zaangażowani w coś, z czego głupio było się wycofać, a potem – proszę – ani się obejrzymy, a już zaczyna dziać się coś wielkiego, niezwykłego.

Jedną z historii tego pokroju jest opowieść o tym, jak narodziło się czasopismo, które właśnie trzymasz w dłoni. Jak wspomniałam w swoim artykule w poprzednim numerze *Dychy*^{*}, pomysł pojawił się w mojej głowie podczas wędrówki szlakiem Camino de Santiago.

Rok temu, we wrześniu, czułam się tak, jakby ktoś wrzucił mnie na głęboką wodę, wbrew mojej woli. Wróciłam wtedy prosto z Camino do szkolnego życia. Podczas podróży prawie każdy dzień przynosił jakąś przygodę, dużo chodziłyśmy, spędzałyśmy większość czasu na świeżym powietrzu. Tyle przygód, nowych doświadczeń, wrażeń i nagle... wróciłam do szkoły i było mi z tym naprawdę źle. Bolesny przeskok. Szłam korytarzem i czułam, jak ogarnia mnie zniechęcenie, nuda i przygnębienie. Całość pogarszała perspektywa spędzenia w szkolnych murach najbliższych 10 miesięcy.



W domu poskarżyłam się rodzinie na taki stan rzeczy, na co moja siostra przypomniała mi o pomysle prowadzenia czasopisma.

Stwierdziłam więc, że „zbadam teren”. Przy okazji załatwiania czegoś w sekretariacie uczniowskim, zapytałam się, czy w naszej szkole istnieje lub istniało coś takiego, jak gazetka szkolna, bo zastanawiałam się, czy nie zainicjować takiego projektu. Pani Kasia, skierowała mnie do p. wice-

dyrektor Mikołajczyk ze słowami: „Agnieszka, dziewczyna chce rozkręcić gazetkę szkolną, porozmawiaj z nią”.

No... przyznam, że nie taki wstęp miałam na myśli. To miało być niezobowiązujące, luźne zorientowanie się w sytuacji.

Porozmawiałam z p. Mikołajczyk i zostałam przez nią odesłana do jednej z polonistek – p. Czopek, która chętnie angażuje się w takie projekty. P. Wicedyrektor powiedziała, że zapamięta mnie i jeżeli do 2 tygodni nie zgłoszę się do p. Czopek, to mnie znajdzie w szkole i...

I cóż – pomyślałam – wkopałam się. Nie byłam pewna, czy chcę się tym zająć. Jednak postanowiłam spróbować.

Zgłosiłam się do p. Czopek, założyłam skrzynkę mailową przyszłego czasopisma i ogłosiłam we wszystkich klasach, że zbieram zespół.

W tym czasie zdarzył się też jeden z ciekawych Przypadków, które towarzyszyły powstawaniu *Dychy*. P. Mikołajczyk powiedziała mi, że jakaś grupa studentów z AGH, którzy zajmują się m.in. pisaniem i redagowaniem swojego magazynu, ma przeprowadzać w naszej szkole warsztaty.

Czy ja dobrze słyszę? W momencie, kiedy zabrałam się za stworzenie czasopisma od zera, na mojej drodze pojawiły się osoby, które mogły mi w tym pomóc. Umówmy się – moje doświadczenie w tych kwestiach było żadne. Miałam je dopiero zdobyć.

Nawiązałam więc kontakt z tymi wysłannikami losu, przede wszystkim z Natalią – ówczesną redaktorką naczelną magazynu *BIS*. Odpowiedziała na mój pomysł entuzjazmem i z podekscytowaniem stwierdziła, że bardzo chce nam pomóc w tym projekcie i ma w tej sprawie takie... poczucie misji!



Misja się powiodła. Studenci rzeczywiście bardzo pomogli nam wystartować. Szczęśliwie, choć nie bez przeszkód złożyliśmy z nimi *Ciepło na zimę***.

Nadszedł więc długo wyczekiwany moment i po wielu godzinach planów, tworzenia tekstów, grafik, ustalania, uzgadniania, wątpliwości, składu i niekończących się korekt – wydrukowaliśmy w szkole pierwszy numer naszego nieregularnika (wtedy jeszcze kwartalnika)!

Byłam pod wrażeniem, że coś, co wcześniej istniało tylko w mojej głowie, przybrało kształt ponad 100 egzemplarzy szkolnego magazynu. W domu, z dumą pokazywałam rodzinie nasze dzieło.

Wtedy miał miejsce kolejny ciekawy zbieg okoliczności. Mój brat wychodził z domu, więc chciałam dać mu *Dychę* do autobusu. Wyciągnęłam teczkę, otworzyłam ją, a w środku znalazłam *Brzydkie kaczątko* – jedną z książeczek, które własnoręcznie stworzyłam razem z mamą, kiedy byłam mała.

Wyjęłam ją, a na to miejsce włożyłam *Ciepło na zimę*.

Taki jakby symboliczny moment; kolejny Przypadek przez wielkie „P”.



Wydaliśmy wreszcie pierwszy numer. Potem kolejne trzy.

Minął już ponad rok, od czasu, kiedy to wszystko się zaczęło. Rok, od kiedy szkoła już mnie nie gryzie (tak bardzo), a nieraz potrafi być całkiem miłym zwierzątkiem.

Przypisy:

* artykuł *Tym razem serio, czyli opowieści z Camino* zamieszczony w 3. numerze *Dychy* – *Zwiastun lata*

** pierwszy numer nieregularnika *Dycha*

Przyznaję, że *Dycha* odegrała znaczącą rolę w odczarowaniu tego miejsca. To nie znaczy, że nie mogę zasnąć wieczorem z ekscytacji na myśl, że rano wstanę, by wstąpić w progi Przybytku Nauki numer 10. Jednak moje nastawienie bardzo się poprawiło. Szkoła nie kojarzy mi się już tylko z przymusową nauką, ale wiem, że robię tu coś ciekawego, twórczego, co pozwala mi się dobrze bawić i rozwijać.

Stworzyliśmy *Dychę* od zera. Jestem z tego powodu dumna oraz wdzięczna każdej osobie, której spodobał się mój pomysł i dołożyła do niego swoją cegiełkę. Jasne, zdarzali się też sceptycy, którzy traktowali mnie z pogardliwym uśmiechem. Mamy trochę nieporozumień, załamień, kryzysów. Sama sprawdzam się lepiej bądź gorzej w swojej roli, ale patrząc na całą tę historię, widzę, jak bardzo mnie to zbudowało i ile nauczyło mnie to doświadczenie.

Jeśli brakuje Ci motywacji, żeby chodzić do szkoły, spróbuj zaangażować się w coś poza obowiązkami. Dołącz do teatru, wolontariatu, zapisz się na SKS, wystartuj w wyborach do samorządu, weź udział w olimpiadzie, konkursie lub dołącz do *Dychy* :). Jeśli chcesz stworzyć coś, czego jeszcze nie ma – kółko filmowe, klub fanów Ariany Grande, etc. – zorganizuj pierwsze spotkanie.

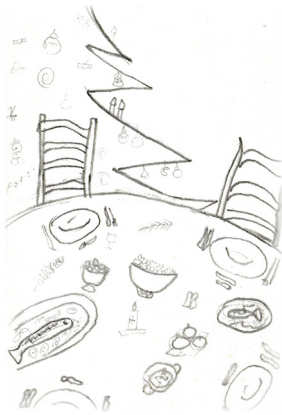
Mam nadzieję, że Tobie również uda się oswoić zwierzątko, jakim jest szkoła.



Dziesiątka pyta

nauczyciele odpowiadają rysunkami

Jaki jest Państwa największy lęk przed Świątami?



ANNA MYŚLIWIEC



ALEKSANDRA CZYŻ



EWELINA GRUZIŃSKA

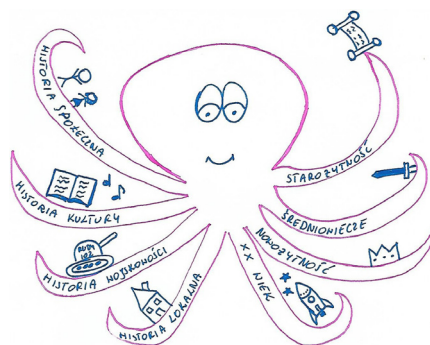


MICHAŁ DĄBROWSKI

Jak wyglądałyby przedmiot, którego Państwo uczą, jako zwierzę?



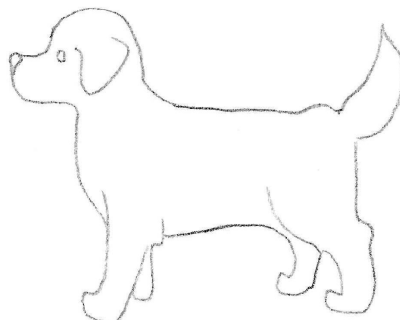
ANNA MYŚLIWIEC



ALEKSANDRA CZYŻ



EWELINA GRUZIŃSKA



MICHAŁ DĄBROWSKI



EWELINA GRUZIŃSKA

W jaki sposób powstaje śnieg?



Czym jest sztuka życia?



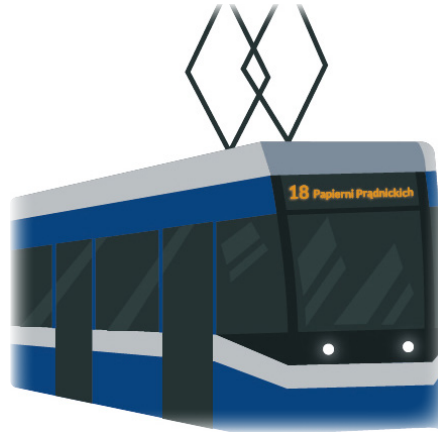
Życie i rozterki

Poniżej znajdziecie wyniki sondażu przeprowadzonego na podstawie głosów uczniów w ankiecie, która odbyła się 31 października przed aulą szkolną. Bardzo dziękujemy za wasze odpowiedzi!

1. Najlepszy numer tramwaju to...

1. linia nr 18
2. linia nr 24
3. linia nr 44

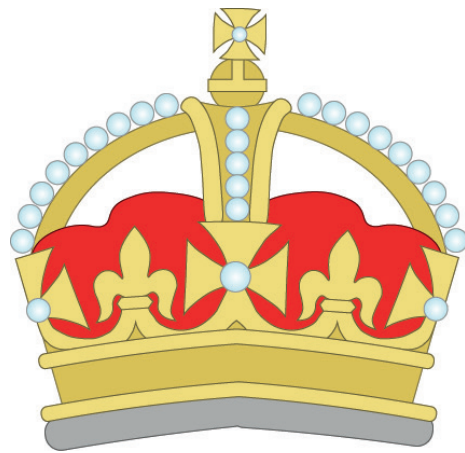
Pozostałe odpowiedzi: Trzy świrki zagłosowały na tramwaj-widmo: 69, jedna osoba na pociąg (taki „inny” tramwaj, wiadomo), dwie zagłosowały na autobus 420 (na to już nie mam wyjaśnień...).



2. Który nauczyciel w X LO jest najlepszy?

1. Pan Pekała
2. Pan Towarnicki
3. Pani Wicedyrektor Kraszewska
3. Pan Gladys (ex aequo)

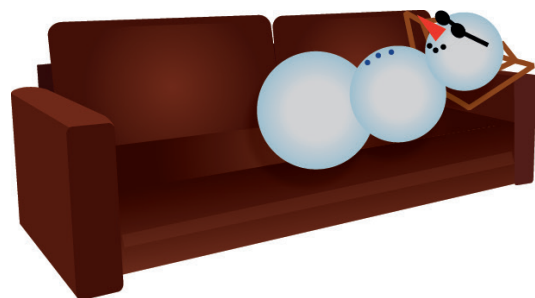
Pozostałe odpowiedzi: Paru uczestników ankiety głosowało niestrudzenie na Pana Daniela Danieluka :).



3. Twoje ulubione miejsce w szkole to:

1. pufy/kanapa/„to coś przed aulą”
2. toaleta
3. wyjście

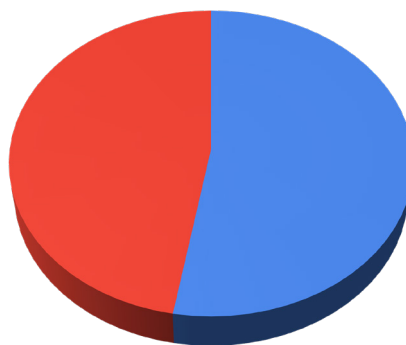
Pozostałe odpowiedzi: Właściciel jednej z ankiet napisał, że jego ulubionym miejscem jest... Adam (?).



4. Co najpierw – płatki czy mleko?

- 1. mleko (52,8%)
- 2. płatki (47,2%)

Pozostałe odpowiedzi: Zdarzyły się odpowiedzi w stylu „miska” albo „stół”.



5. Krakowski: precel czy obwarzanek, którego słowa używasz najczęściej?

- 1. obwarzanek (71,4%)
- 2. precel (28,6%)

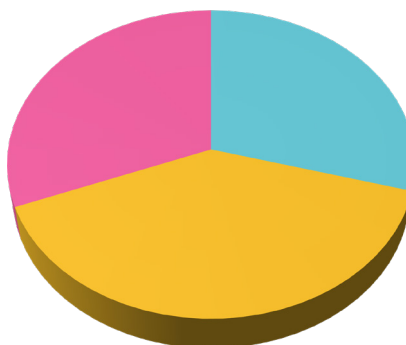
Pozostałe odpowiedzi: „oba”, „precel jest cienki i zakręcony” – najwyraźniej można się kłócić :).



6. Psy czy koty (jeże?) – które lepsze?

- 1. psy (39,8%)
- 2. jeże (30,9%)
- 3. koty (29,3%)

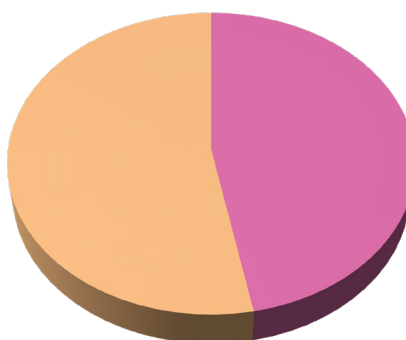
Pozostałe odpowiedzi: „wszystko”, „młody jeżyk..”



7. Książki czy filmy – które wolisz?

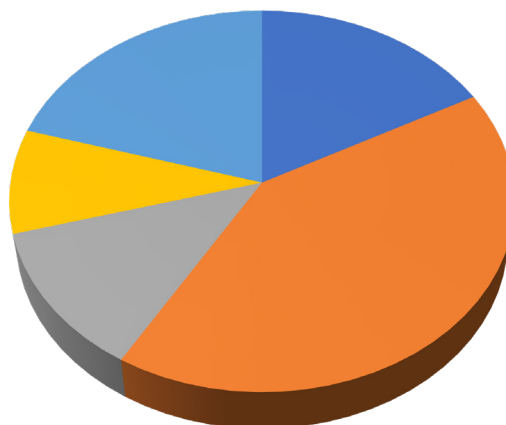
- 1. filmy (53%)
- 2. książki (47%)

Pozostałe odpowiedzi: Jedna fascynująca osoba napisała „imperium rzymskie”, cokolwiek ma to wspólnego z książkami i filmami. Rozumiemy po prostu, że wypełniający *tak woli*, w końcu tego dotyczyło pytanie... prawda?



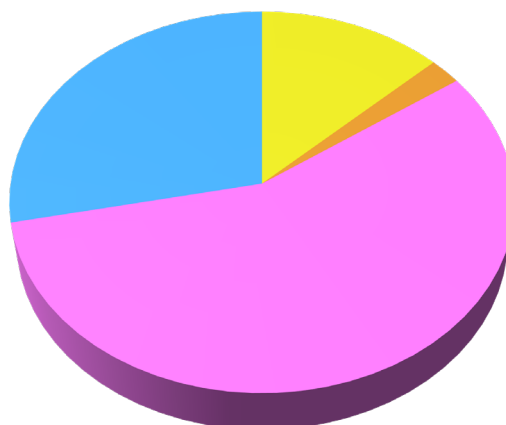
8. Co robisz, kiedy spotykasz nauczyciela poza szkołą?

- 1. mówię dzień dobry i uciekam (41,4%)
- 2. uśmiecham się, bo nie jestem aspołecznym świrkiem (20,4%)
- 3. uciekam (17,1%)
- 4. udaję, że mnie nie ma (12,2%)
- 5. udaję, że jestem z VI LO (8,8%)



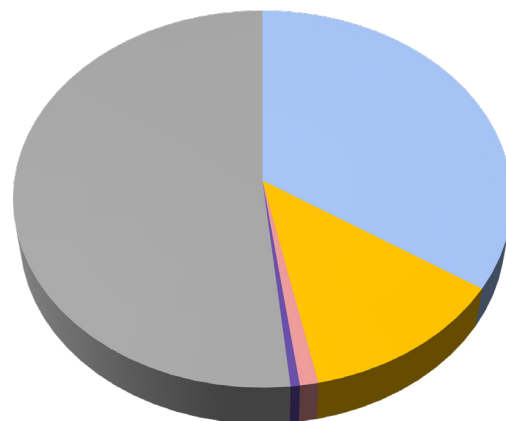
9. Co najbardziej cię denerwuje (urzeka) w X LO?

- 1. kolejki do toalet (56,5%)
- 2. zamykanie sal na przerwach (28,2%)
- 3. kiwające się ławki (13%)
- 4. pył z tablicy (2,3%)



10. Matura, z którego przedmiotu przeraża cię najbardziej?

- 1. matematyka (równie przerażająca na podstawie, co rozszerzeniu) (51,6%)
- 2. polski podstawowy (34,2%)
- 3. polski rozszerzony (12,5%)
- 4. język obcy podstawowy (1,1%)
- 5. język obcy rozszerzony (0,5%)



Kim jesteśmy?



redaktor naczelna,
teksty

Gosia Jasińska, 4b

Rząd: naczelne, gatunek: homo sapiens. Czasem przyznaje, że przez *Dychę* ledwo dycha.



teksty

Julia Filipiak, 3c

Jej związek z chemią jest kowalencyjny spolaryzowany, jednak musi zdać z niej maturę.



teksty

Victoria Jawornicki, 4a

Jesienią 2018 r. zaczęła słuchać *RMF Classic* i ten nawyk pozostał z nią aż po dziś dzień.



teksty

Łucja Ziemińska, 3b

Spędza dużo czasu na swoim ulubionym fotelu do czytania, o ile nie jest on już zajęty przez kota.



teksty

Matylda Szpoton, 1c

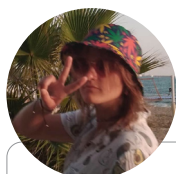
Marzycielka, zakochana w muzyce od zawsze. Chce zostać dobrą lekarką lub wyrozumiałą mamą.



ilustracje

Filip Zięba, 3f

Mało osób go kojarzy, ale w wolnym czasie rysuje i słucha muzyki typu rock.



ilustracje

Martyna Stręk, 4g

Bardzo lubi digital painting, którym zajmuje się od kilku lat. Gra na gitarze.



zdjęcia

Franek Golonka, 2c

Miłośnik kolei, celowo niezwiązany z nią zawodowo, prawdopodobnie przyszły chemik.



pomoc

Janek Lamik „Lambo”, 3a

Interesuje się historią, zwłaszcza napoleońskiej Francji, perkusją oraz chodzeniem po górach.

skład

Kacper Madej, 4b

Uparty jak osioł, ale niektórzy ludzie powiadają, że ma dobre serce.

teksty

Magdalena Borkowska, 2c

Uwielbia zachody słońca, zwłaszcza, jeśli towarzyszą jej podczas jazdy na rowerze.

ilustracje

Kasia Musiał, 2c

Wielbicielka szynszyli, które chętnie maluje. Pochłania książki i kocha je recenzować.

teksty

Alicja Barcicka, 1a

Pała miłością do kotów, fascynuje się poezją (wszelkiego rodzaju) i kaktusami.

Chcesz dołączyć do naszego
zespołu lub podzielić się
pomysłem? Napisz do nas.

dycha.redakcja@gmail.com

Dziękujemy pani Cecylii Czopek
oraz pani Agnieszce Mikołajczyk
za wsparcie na różnych etapach
powstawania *Dychy*.

We współpracy z magazynem studenckim AGH

BIS